

Rozdział 11

- Jeżeli mam być szczerzy... – zaczął Ryży.
- Nie musisz, jeśli nie chcesz. – Yurgos mrużył oczy, spoglądając na skąpane w świetle zachodzącego słońca Terinst.
- Akurat naszła mnie ochota. – Pomiedzy wierzchowcami dwójki Ocaleńców przewieszono prowizoryczne nosze, na których spoczywały zwłoki Cordana. – Więc, jeżeli mam być szczerzy, to w moich wspomnieniach ten zamek był większy.
- Yurgos wraz z towarzyszącym im Lotgarem spojrzeli wymownie na towarzysza, ten jednak nie wyglądał na speszzonego.
- No co? – spytał.
- Nie wiem – odpowiedział Yurgos. – Spodziewałem się raczej, że powiesz coś w rodzaju: „Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś ujrzę tę twierdzę!”. Albo bardziej w twoim stylu: „Niechaj rogi strażnicze obwieszczą powrót bohaterskich rycerzy!”.
- Albo: „Nie ma to jak w domu” – wtrącił Lotgar. – Proste, ale jakże na miejscu.
- Dokładnie. – Yurgos skinął. – Jakże na miejscu.
- Dajcie mi spokój. Obaj. – Ryży trącił konia w boki i ruszyli powoli ku zamkowi. – Ostrzegłem, że będę szczerzy. No to byłem. Cóż, skoro zamek się nie zmniejszył, to widocznie ja urosłem!
- Bardzo możliwe – zgodził się młody dowódca. – Najwyraźniej w taki oto sposób radzisz sobie z kompleksami. W twoich oczach wszystko wydaje się większe, niż w rzeczywistości jest...

Gospodarstwa wokół Terinst były uprzątnięte i przygotowane na wiosnę. W płotach uzupełniono brakujące sztachety, a uliczki były osuszone. Gdziekolwiek dało się słyszeć metaliczny brzdęk motyki uderzającej o kamienistą ziemię. Nieliczni chłopcy pracujący przed zachodem słońca nie zwracali uwagi na trójkę wędrowców zmierzających do bramy głównej zamku.

– Ani śladu Keldalończyków... – szepnął Ryży. – Chyba się udało.

– Wojna się skończyła...! – Na twarzy Lotgara zagościł uśmiech.

Główny trakt doprowadził ich do wielkich wrót grodu. Ich grube skrzydła były otwarte, a żeliwna krata opuszczona. Tuż przy bramie stało trzech żołnierzy w sautańskich zbrojach, żywo o czymś rozmawiając.

Yurgos wraz z dwójką towarzyszy zatrzymali się kilkanaście jardów przed nimi i zsiadli z wierzchowców. Powolnym krokiem zbliżyli się do strażników.

– Witajcie! – krzyknął do nich Ocaleniec. – Sautańscy żołnierze strzegący sautańskiej stolicy. Ten widok napawa otuchą. Kto dowodzi na zamku?

– To zależy, kto pyta... – Jeden ze strażników mocniej uchwycił drzewce włóczni.

– Panowie, spokojnie. – Ryży zrównał się z nimi. – Rozmawiacie z weteranami!

– Tutaj wszyscy są weteranami. – Trzej wojownicy stanęli w poprzek drogi, tarasując dojście do bramy. – Mów, do cholery, kim jesteście?

Yurgos uniósł ręce, by nie prowokować nieznanym.

– Jestem Yurgos – powiedział. – Jestem stąd, z Przymurza. Byliśmy żołnierzami Kampanii Zachodniej, a potem niedobitkami spod Nilgem. Przewodzę oddziałowi, którego członkowie sami siebie nazywają Ocalańcami.

– Mały ten twój oddziałik. – Strażnik zmierzył przybyłych wzrokiem i parsknął. – Nie potrzebujemy tu obwoźnych sprzedawców, kuglarzy, czy kimkolwiek tam jesteście. Wynoście się.

– Powiedziałem wam, co chcieliście. A teraz ja chcę się widzieć z dowódcą zmiany. – Yurgos nie ustępował.

– A ja powiedziałem, wynoście się!

– Daj im spokój, Yurgos – wtrącił się Ryży. – Czasy się zmieniły. Widać trauma po oblężeniu kazała zapomnieć tym starym wygom, kogo gruby Forto wysyłał kiedyś po browar.

Strażnicy drgnęli i wymienili się spojrzeniami.

– Coś ty powiedział? – spytał jeden z nich.

– Że gruby Forto wysłał nas po browar?

Wojownik zagwizdał, a po chwili ciężka krata zaczęła powoli sunąć ku górze, otwierając przejazd na teren twierdzy.

– Prędko – rzucił i nakazał im gestem, by ruszyli.

Przybyli skinęli i wrócili się, by poprowadzić konie. Lotgar milczał przez całą drogę, nie potrafiąc odnaleźć się w nietypowej sytuacji, zaś Ryży nieumiejętnie próbował ukryć zdziwienie.

– To naprawdę ci sami strażnicy, co wtedy przed wymarszem? – spytał półgębkiem Yurgos.

– Nie mam pojęcia... – szepnął Ryży, chwytając za lejce swojego wierzchowca. – Szczerze, nie wierzę, że to zadziałało...

Pokonawszy zamkowe wrota, znaleźli się na pustym trakcie prowadzącym prosto do królewskiego pałacu. Strażnik nakazał im udać się pod bramę koszar, dokąd samemu puścił się biegiem, by poinformować dowództwo.

– Wymarłe miasto... – jęknął Lotgar.

– Nie wymarłe... wybite – poprawił go Yurgos.

Na swojej drodze nie spotkali nikogo. Drzwi i okiennice siedzib cechów pozostawały zamknięte, a okna niektórych budynków były powybijane. Znikąd nie dolatywał głos pracującego młota kowalskiego ani rżenie koni. Nawet koleiny na niebrukowanych uliczkach wydawały się płytsze.

– Tu się rozstajemy. – Yurgos spojrzał na Lotgara i podał mu dłoń. – Miło było podróżować razem.

– Dziękuję, panie. – Mężczyzna odwzajemnił uścisk. – Ale... tak po prawdzie, to nie wiem, co mam robić dalej.

– Nie rozumiem... To po co zmierzałeś do Terinst? – zainteresował się Ryży.

– Bo mi kazano, panie.

– Zaraz. – Yurgos przystanął, chwycił Lotgara za ramię i obrócił w swoją stronę. – Kto ci kazał?

– Winrael... Generał Winrael.

Milczeli przez moment. Yurgos czuł na sobie pytający wzrok Ryżego, jednak sam nie odrywał oczu od coraz bardziej przerażonej twarzy ich towarzysza. Lotgar spróbował zrobić krok w tył, jednak uniemożliwiła mu to wciąż mocno zacisnięta na jego barku dłoń młodego dowódcy.

– Generał Winrael – spokojnie powtórzył Yurgos.

– Tak, panie... Jestem karczmarzem... Generał był u mnie na kilka dni przed upadkiem stolicy... Powiedział, że kiedy skończy się wojna, a Terinst wciąż będzie stało, to mam się stawić w mieście. Keldalończycy odeszli parę dni temu, pomyślałem więc, że czas nadszedł.

– Winrael, brat króla, w twojej karczmie? – kpił Ryży.

– Niech zaraza weźmie mój cały chmiel, jeśli kłamię!

– Spokojnie... – Yurgos zwolnił uścisk na ramieniu Lotgara. – Stałeś się częścią nieciekawej historii, przyjacielu. Wytłumaczę ci wszystko, jak nadarzy się okazja. Do tego czasu jesteś jednym z nas, Ocaleńców, niedobitków spod Nilgem i przybyłeś z nami z Aetermos. Rozumiesz?

Lotgar skinął twierdząco, Yurgos odetchnął i ruszyli dalej w kierunku bramy koszar. Te znajdowały się niedaleko i wkrótce dostrzegli czekającą na nich przed rozwartymi wrotami grupkę ludzi. Oprócz strażnika, który wprowadził ich na teren grodu, dostrzegli okrągłego kuchmistrza Forta i wspierającego się na kulach kapita- na Valdwiga, którego lewa noga kończyła się kikutem w okolicach kolana.

– Ja znam te mordy! – Kapitan uśmiechnął się.

– Jako żywo, ja też! – krzyknął radośnie Forto, podbiegł do nich i objął swoimi krótkimi rączkami. – Jak pragnę zdrowia, jeszcze

nikt nigdy mi takiego dobrego browaru nie sprezentował! A niejednego po niego wysyłałem! Ha!

– Witaj, Forto. – Yurgos skinął mu. – Panie kapitanie.

– Pan kapitan musztruje obesranych ze strachu młokosów, a wy już dawno temu zmieniliście barchany. – Kapitan dołączył do nich. – Valdwig jestem.

– Yurgos. A to Ryży. Jesteśmy z Przymurza – przedstawił się młody dowódca. – Lotgar zaś jest z Ziem Zachodnich.

– A ten tam – Ryży wskazał brodą na nosze pomiędzy ich wierzchowcami. – Ten tam to Cordan. Też z Przymurza.

Valdwig powoli zbliżył się do prowizorycznej konstrukcji, chwycił skraj okrywającego je materiału i odchylił, marszcząc czoło.

– Tę mordę też poznaję... – westchnął. – Jak zginął?

– Wszystko opowiem – odparł Yurgos. – Ale może nie tutaj. Chcielibyśmy oddać ciało Cordana jego rodzinie.

– Zajmiemy się tym. – Kapitan gwizdnął krótko, a towarzyszący im strażnik odprowadził konie ze zwłokami do pobliskiego garnizonu.

– Wiem, gdzie mieszka jego rodzina – powiedział Ryży. – Pójdę tam. Myślę, że zasługują na parę słów wyjaśnień.

– Idź, znajdziesz nas w koszarach. – Yurgos odprawił towarzysza. – Kapitanie, poprosimy o kwaterę. Lotgar ma swoje lata, musi odsapnąć. Nie zabawimy długo, ale chociaż jedna noc przespana na miękkim jest wystarczająco kusząca, by o to poprosić. No a my... My musimy zamienić dwa zdania.

Valdwig wypiął pierś i spojrzał na Yurgosa z góry.

– Dorosteś – powiedział.

– Ba! Wiek rębny osiągnięty! – zarechotał Forto. – To co? Rąbniemy sobie po maluchu? Mam u siebie antałek genialnego miodu!

– Rębność się tyczy nie rąbania, a rźnięcia, Forto... – rzucił Valdwig.

– Wy tam sobie róbcie, co chcecie, a my rąbniemy po maluchu!
– Kuchmistrz nie przestawał się śmiać.

– Czyli to nie na ciebie czekaliśmy... – westchnął Valdwig, powoli przeżuując kolejny kęs cebuli.

Siedzieli przy zbitym z nieheblowanych desek stole w garkuchni Forta. Zewsząd unosił się zapach gotowanej kaszy, którą wypełnione były wszystkie stojące w kącie garnki. Naprzeciw wejścia piętrzyła się góra nieobrabianych ziemniaków i kilka worków cebuli. W jednym z wielu palenisk płonął niewielki ogień.

Forto ugościł ich u siebie i ochoczo zabrał się do pracy. Nie minęło wiele czasu, kiedy tuż przed Yurgosem wylądowała wielka miska z gulaszem tonącym w gęstym sosie, okazałych rozmiarów kufel z miodem i kilka pająd chleba.

Pomiędzy kolejnymi porcjami pochłanianego gulaszu Yurgos streścił towarzyszom wszystko to, co w jego ocenie powinni wiedzieć z ostatnich wydarzeń. Odpowiedział na wszystkie ich pytania i sam wysłuchał historii Valdwiga od czasu do czasu przerywanej głośnymi uwagami Forta.

– Nie zrozum mnie źle – podjął po chwili kapitan. – Ale trochę zawiodłeś nasze oczekiwania.

– Nic na to nie poradzę. – Yurgos pociągnął łyk miodu. – Próbowaliśmy wejść do miasta. Po prostu ten sposób zadziałał.

– Każdego dnia, odkąd Winrael wyjechał z cesarzem do Adragov, wypatrywaliśmy posłańców od niego. – Forto sposepniał. – Każdego dnia, bez wyjątku. Wszyscy Sautkańczycy w mieście wiedzieli, żeby nie robić problemów tym, których wysłałem po browar...

– Kilka dni temu, kiedy Keldalończycy odeszli na północ, byliśmy przekonani, że to już niedługo. Że coś zaczęło się dziać. Że wkrótce dostaniemy rozkazy. – Valdwig pokręcił bezradnie głową. – Tymczasem co słyszę? Że Winrael o nas zapomniał. Nasza ostatnia nadzieja przepadła...

– Nie taka znowu ostatnia – burknął Yurgos. – Nie sądzę, aby namiestnik zapomniał o Saucie...

- Namiestnik... – prychnął lekceważąco kuchmistrz.
- Myślę, że zmienił punkt widzenia – kontynuował Ocaleniec.
- Bezpieczna Sauta to już nie to samo co wolna Sauta. Cesarstwo włada już prawie całym Hildórien, a wzrok namiestnika skierował się teraz na północ, na Aren-Arię. Ponoć tam skrywają się ci, którzy są odpowiedzialni za wojnę. Tam też uderzą Filiańczycy. Ostatnia bitwa... Udał się tam też Merydar. Wyruszył przed nami.
- Merydar przeżył? – Kapitan uniósł brew.
- Tak i wszyscy podzielamy jego obawy – odpowiedział Yurgos. – Jeżeli sprawcy wojny rzeczywiście kryją się na północy, to trzeba się z nimi rozprawić. Pytanie, co dalej? Jak chętnie namiestnik będzie oddawał kolejne porcje swojego Cesarstwa pod władanie nowych dynastii? Merydar twierdzi, że nie urodził się jeszcze taki, który zasmakowawszy pełni władzy, oddałby ją z własnej woli. I chyba nie sposób się z nim nie zgodzić...
- Ten człowiek, którego ścigaliście z Aetermos... – zaczął Valdwig.
- Oko Namiestnika. – Młody dowódca wszedł kapitanowi w słowo. – Zapewne gonił za Treyonem. Po rozprawieniu się z nim osiadłby tutaj i osobiście władał Sautą... czy Wschodnią Gubernią, jak ją nazywają.
- Treyon nie afiszował się zbyt, kiedy tu przybył.
- Słusznie. Im mniej osób wie, tym lepiej.
- Na korytarzu za drzwiami rozległy się ciężkie kroki, a po chwili o ościeżnicę oparł się Ryży. Na jego twarzy malował się smutek, kiedy przetarł dłonią po spoconym czole.
- Nigdy więcej... – rzucił zmęczonym tonem.
- Aż tak źle...? – pytał Yurgos.
- Nie wiem. Chyba tak to powinno wyglądać. – Ocaleniec wzruszył ramionami. – W tej chałupie byli po prostu wszyscy, matka, ojciec, babki, siostry, spasiony kot i dwa szczury w worku na zboże... Oblegli mnie wszyscy dokoła, szlochali i tak bardzo dziękowali, że przywieźliśmy jego zwłoki, że z tego wszystkiego sam się rozryczałem...

– Dobrze zrobiłeś. Lepiej tak, niż jakby miał spłonąć na jakimś stosie przysypany setką bezimiennych ciał. – Forto wstał od stołu i podsycił płomień pod paleniskiem. – Siadaj, trzeba cię nakarmić, boś mizernutki...

– Z całym szacunkiem, Forto, ale czy to aby kasza? – dopytywał Ryży.

– Gulasz wołowy!

– A, to chętnie!

Po nocy przespanej w koszarowej kwaterze, długiej rozmowie z Lotgarem i sowitym śniadaniu, o którym nie pozwolił mu zapomnieć kuchmistrz Forto, Yurgos bez przeszkód minął straż głównej bramy Terinst i zanurzył się w labiryncie drobnych uliczek Przymurza.

Ze zdziwieniem odkrył, że strach, jaki żywił w ostatnie dni przed wymarszem swojego oddziału do Nilgem, że być może nigdy już nie będzie mu dane ujrzeć domu, był nieuzasadniony. Wrócił po tym wszystkim, co przeszedł przez ostatnie miesiące, lecz nie czuł się jak w domu.

Doskonale znał wszystkie mijane gospodarstwa, domy, a nawet płoty i strachy na wróble. Kilka razy ktoś zawołał go po imieniu i pomachał serdecznie, kiedy ten się odwrócił. Świetnie pamiętał, że przechodząc przed furtką do chałupy starej wdowy po bednarzu, należy omijać największy z kamieni, którymi częściowo wybrukowano uliczkę, gdyż ten, niedokładnie osadzony, ruszał się pod stopami, co groziło poślizgnięciem i upadkiem. Mimo to czuł się obco wśród tak bliskich mu rzeczy.

– Widać powrót jest niemożliwy... – szepnął sam do siebie.

Swoją drogę obierał bez namysłu i już wkrótce dostrzegł górujący nad pozostałymi dach swojego rodzinnego domu. Kiedy podszedł bliżej, ze smutkiem spostrzegł, że budynek jest bardziej zaniedbany, niż kiedy widział go po raz ostatni. Niezrażony wyciągnął

rękę i pociągnął za kołatkę, jednak drzwi ani drgnęły. Zapukał, lecz kiedy po kilku chwilach nie doczekał się odpowiedzi, obszedł domostwo i zajrzał przez najbliższe okno.

W środku było ciemno, a jedyne, co widział wyraźnie, to pańczyny tańczące w podmuchach powietrza wydobywającego się spod nieszczelnych okiennic. Załomotał kłykciami o szybę, jednak i to nie przyniosło efektu. Dom był opuszczony.

– Czego tu?! Won mi stąd, ale już!

Yurgos obrócił się na krzyki dobiegające go z sąsiedniej chałupy i zobaczył człapiącą ku niemu nieporadnie przygarbioną staruchę, niebezpiecznie wymachującą zardzewiałą motyką.

– A niech mnie drzwi ścisną...! – Zatrzymała się nagle, kiedy dostrzegła jego twarz. – Czyżby po ostatnim zębie przyszła kolej na utratę wzroku czy to rzeczywiście młody Yurgos...?!

– Dzień dobry, pani bednarzowa. – Ten uśmiechnął się.

– No pewnie, że to młody Yurgos! – zaskrzeczała radośnie. – Masz ci los, ależ ty zmężniałeś! No i gdzie się podział ten dziewiczy policzek włosiem nieskażony? Ho, ho! Gdybym ci ja była młodsza...!

– Dziękuję, pani bednarzowa. – Yurgos zawstydził się.

– No już, już, wiedziałam, że niebawem wrócisz. Pozwól za mną. – Machnęła ręką, a mężczyzna podążył jej śladem. – Keldalńczycy odeszli, znaczy wojna skończona. A twoja matka powiedziała, że jak wojna się skończy, a ty wrócisz do domu, to mam ci to dać.

– Kiedy tak powiedziała?

– Jak opuszczała gospodarstwo, w przeddzień waszego wymarszu.

– Dokąd odeszła?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Bednarzowa jestem, a nie jasnowidzowa!

Kobieta zniknęła na moment w chałupie, a kiedy wróciła, trzymała w dłoni złożony na cztery kawałek pergaminu. Yurgos odebrał go od niej i rozłożył. Na pożółkłej i pomiętej kartce widniało kilka pośpiesznie napisanych słów i rysunek przypominający mapę.

- Wie pani, co tu jest napisane?
– Już mówiłam. – Kobieta obruszyła się. – Jestem bednarzowa, a nie skrybowa!
– Moja matka nie potrafi pisać... Kto jej w tym pomógł?
Starucha wzruszyła tylko ramionami.
– Poradzę sobie jakoś – rzucił i puścił się na uliczkę. –
Dziękuję, pani bednarzowa!

- To ty umiesz czytać?
Yurgos podał Fortowi pogięty pergamin i z zainteresowaniem śledził, jak kuchmistrz przeskakuje swoimi małymi oczkami od słowa do słowa. Siedzący za stołem Valdwig parsknął, rozmasowując sobie udo nad kikutem.
– A co? Muszę gdzieś spisywać moje rozliczne przepisy. Myślisz, że spamiętałbym je wszystkie? Pamięć mam dobrą, acz krótką...
– Jakie przepisy, Forto? Ty gotujesz kaszę! – zakpił Ocaleniec.
– Mam ci pomóc czy nie?
Młody dowódca uniósł obie dłonie w geście kapitulacji.
– No. – Kuchmistrz wygładził kartkę. – Dużo tego nie ma. „Znajdziesz mnie w Ga... Galan... Galaantore...” Tak, Galaantore. Które, jak mniemam, jest tu. – Wskazał palcem na jakiś punkt na pergaminie. – Obok... tego czegoś i tego... drugiego czegoś.
– Daj. – Kapitan Valdwig wyciągnął rękę. – I rzuć cebulą.
Forto posłusznie oddał towarzyszkowi zwitek i sięgnął do worka pod drzwiami, z którego wydobył główkę warzywa. Podrzucił ją ku kapitanowi, a ten zręcznie pochwycił ją w powietrzu.
– Hm... – westchnął Valdwig, pocierając materiał między palcami. Cebula głośno chrzęściła między jego zębami. – Dziwny ten pergamin. Skąd go masz?
– Od matki – odparł Yurgos.

– Jest cięszy od naszych pergaminów. Pewnie jest z koziej skóry... My nasz robimy z cieląt, od dawien dawna. Nie sądzę, żeby pochodził stąd... I nie mógł powstać wcześniej niż po wybuchu Wojny Przepływowej.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Brwi Ocaleńca ściągnęły się, a on sam zawisł nad ramieniem kapitana.

– Bo to jest Klin. – Valdwig postukał palcem po rozłożonej na stole karcie.

Słowo „Galaantore”, jak podejrzewał Yurgos, było tym, które widniało nad kropką na środku pergaminu. Znak ten mieścił się w ciągnącej się od góry do dołu kolumnie krótkich, pochyłych kresek, którą na końcu ograniczała duża ciemniejsza plama. Odchodziły od niej, po jej prawej stronie, trzy długie linie, z których ta najwyższa kończyła się koślawym okręgiem na wysokości nazwy tajemniczego miejsca.

– Jeżeli to jest Klin, to to jest Lemak. – Yurgos wskazał na ciemną plamę. – A zatem to całe Galaantore mieści się w górach...

– Na zachód od Klina – przytaknął kapitan. – Masz pomysł, co to za miejsce?

– Najmniejszego... Ale dowiem się.

Valdwig złożył pergamin i podał do Yurgosowi, a ten ukrył go bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Chcesz tam ruszyć? – spytał kapitan.

Yurgos przytaknął w milczeniu.

– Co tam jest? – Valdwig spoglądał na niego badawczo.

– Nie wiem...

– A kto tam jest?

Yurgos spuścił głowę, a jego wyprostowana sylwetka zgarbiła się. Westchnął bezradnie i uderzył pięścią o blat stołu.

– Moja matka... – powiedział po chwili.

– Synu... – Kapitan ciężko oparł się na kulach i wstał. – Jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło z tego, że do wojny mieszało się prywatę...

– Wojna dobiega końca.

– Doprawdy? To niby po co przemierzyłeś cały półwysep, goniąc za Okiem Namiestnika? To, że nie ma tu wojny, nie znaczy, że wkrótce tu nie wróci.

– To moja matka, Valdwig. Muszę wiedzieć, że nic jej nie jest. Nie mogę jej zostawić. Wyruszymy tak szybko, jak to tylko możliwe.

– A co my mamy robić? – zagadnął nieśmiało Forto.

– Rosnąć w siłę. – Yurgos obrócił się w stronę kuchmistrza i uśmiechnął. – Sauta jest bezpieczna. Keldalończycy nie wrócą, więc północne wybrzeże nie stanowi zagrożenia. Ziemie Zachodnie obserwuje zaufany garnizon w Aetermos. Jedyne, o co musicie zadbać, to patrole. Jeżeli znajdziecie człowieka z okiem na piersi... zabijcie go.

– Myślałem o tym, co mówiłeś, panie.

Trzech wędrowców wjechało nieśpiesznie na gościniec, kiedy wynurzyli się spomiędzy ostatnich gospodarstw wokół Terinst. Ryży jechał na przodzie, leniwie żując kawałek suszonej wołowiny, a Yurgos wraz z Lotgarem podążali równo za nim.

– Prosiłem cię, żebyś mnie tak nie nazywał... – upomniał karczmarza Yurgos.

– Wybacz... Stare przyzwyczajenia. Zobaczysz, jeszcze się nauczę.

– Zobaczę?

– No właśnie... – Lotgar podrapał się za uchem. – Jak już mówiłem, trochę myślałem nad tym wszystkim. I... Cóż, wydaje mi się, że Winrael nie bez powodu polecił mi tu przyjechać.

– I co jest tym powodem? – spytał Yurgos.

– On sam. Namiestnik chciał, żebym przyjechał do niego, a nie po prostu do Terinst. Chciał, żebym go odnalazł, tylko... nie przewidział, że sam będzie wtedy zupełnie gdzie indziej.

– Namiestnik? – Ryży obrócił się w siodle. – Lotgar, słuchaj... Lubię cię i nie chciałybym cię urazić, ale... Dlaczego władca niemal całego kontynentu miałby nalegać na spotkanie z prostym karczmarzem?

– I piwowarem. – Lotgar uśmiechnął się. – Kiedy go widziałem, nie był namiestnikiem... Nie był nawet generałem. Był rozgoryczonym człowiekiem... ale pewnie masz rację. Pewnie nawet mnie nie pamięta.

– Nie przejmuj się. – Yurgos szturchnął go w bok. – Po ostatnich miesiącach wszystko stoi na głowie.

– Co fakt, to fakt. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem tak daleko od swojego zajazdu – przyznał karczmarz i spojrzał na towarzysza. – A co byś powiedział na to, żebyśmy pojechali z wami?

– Do Aetermos? – zdziwił się Yurgos.

– Albo i dalej! Zrobiłem już pierwszy krok, wyszedłem z domu. A ponoć to tak właśnie zaczynają się największe podróże.

– Cóż. – Dowódca zamyślił się na chwilę. – Każdy, kogo dotknęła wojna, jest po części Ocaleńcem. Jeżeli taką podjąłeś decyzję, nikt cię nie będzie namawiał do zmiany zdania.

Lotgar przytaknął i ruszyli na zachód.